DIORADIORADIO...

Mirek Burzyński zapytany, do jakiej chodzi szkoły, odpowiada nieco zdziwiony:

– Jak to do jakiej? Oczywiście do Technikum Radiowego „Diory". Moja mama i mój tata pracują w „Diorze"; tata jest głównym konstruktorem... A z okna mojego pokoju widzę halę montażu zakładów, więc...

Praca w „Diorze" to „rodzinna choroba" państwa Burzyńskich. Ale nie tylko ich. Wiele rodzin mieszkających w Dierżoniowie mocno związało się z tymi zakładami; dziadkowie dźwigali fabrykę z ruin i montowali pierwsze odbiorniki radiofoniczne, ojcowie uczestniczyli w jubileuszach wyprodukowania milionowego, pięciomilionowego i dziesięciomilionowego odbiornika, a wnukowie są konstruktorami najnowszych, budowanych na półprzewodnikach odbiorników najwyższej, światowej klasy „hi-fi" (jest to skrót angielskich słów: high fidelity, co oznacza „wysoka wierność" odtwarzania), poszukiwanych i cenionych nie tylko w Polsce, lecz także w wielu innych krajach.

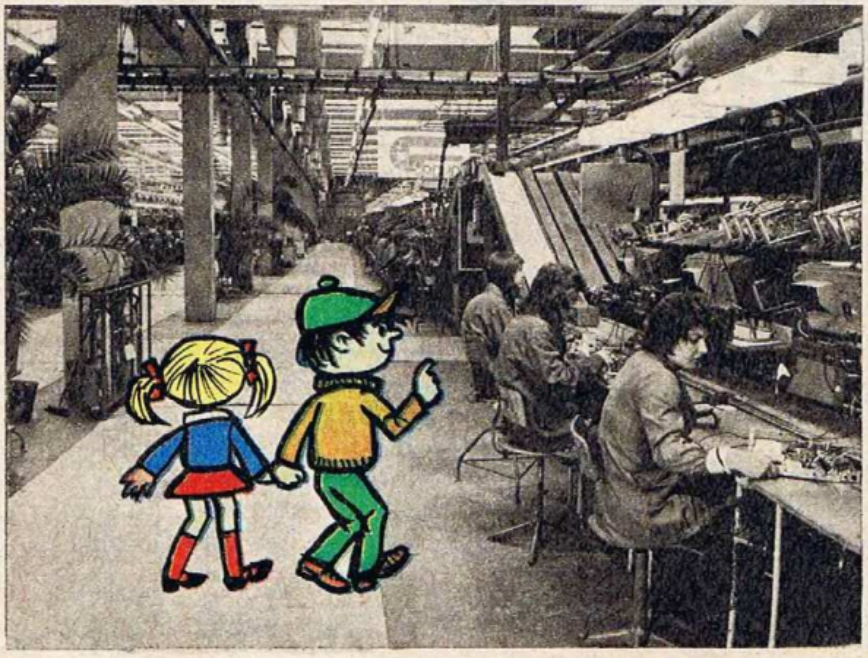

* * *

Niewielkie, liczące około 30 tysięcy mieszkańców miasteczko na Dolnym Śląsku – Dzierżoniów – nie bez powodu jest nazywane „kolebką polskiego przemysłu radiotechnicznego". Gdy kraj był jeszcze w gruzach, 8 listopada 1945 r. czteroosobowa grupa w na wpół zniszczonych halach zakładu zbrojeniowego zabrała się do uprzątania gruzu, szklenia okien i... montowania pierwszych odbiorników radiofonicznych. Znaleziono bowiem w pobliżu Dzierżoniowa wagon z różnymi częściami. Po ich przejrzeniu i posegregowaniu inż. Wilhelm Rotkiewicz, dziś profesor Politechniki Warszawskiej, najpierw sam, później już przy pomocy kilkunastu pionierów, zaczął montować pierwsze egzemplarze odbiorników, które dumnie nazwano „Srebrny Ton", a potocznie „Limuzyna". Gdy skończyły się znalezione elementy, nowe trzeba było zakupić w Szwecji; z nich skonstruowano odbiornik, który nazwano „Aga".

Równolegle pod kierunkiem inż. Rotkiewicza trwały prace konstrukcyjne nad budową całkowicie polskiego odbiornika radiofonicznego. Pierwsze jego egzemplarze zeszły z taśm montażowych dzierżoniowskich zakładów w 1948 r. Nadano mu nazwę „Pionier", tak jak nazwano wówczas pierwszych Polaków zamieszkałych po II wojnie światowej w Dzierżoniowie.

Następne konstrukcje były w zasadzie rozwinięciem i udoskonaleniem „Pioniera", powstały więc odbiorniki z klawiszowymi przełącznikami, potem z gramofonem, wreszcie w

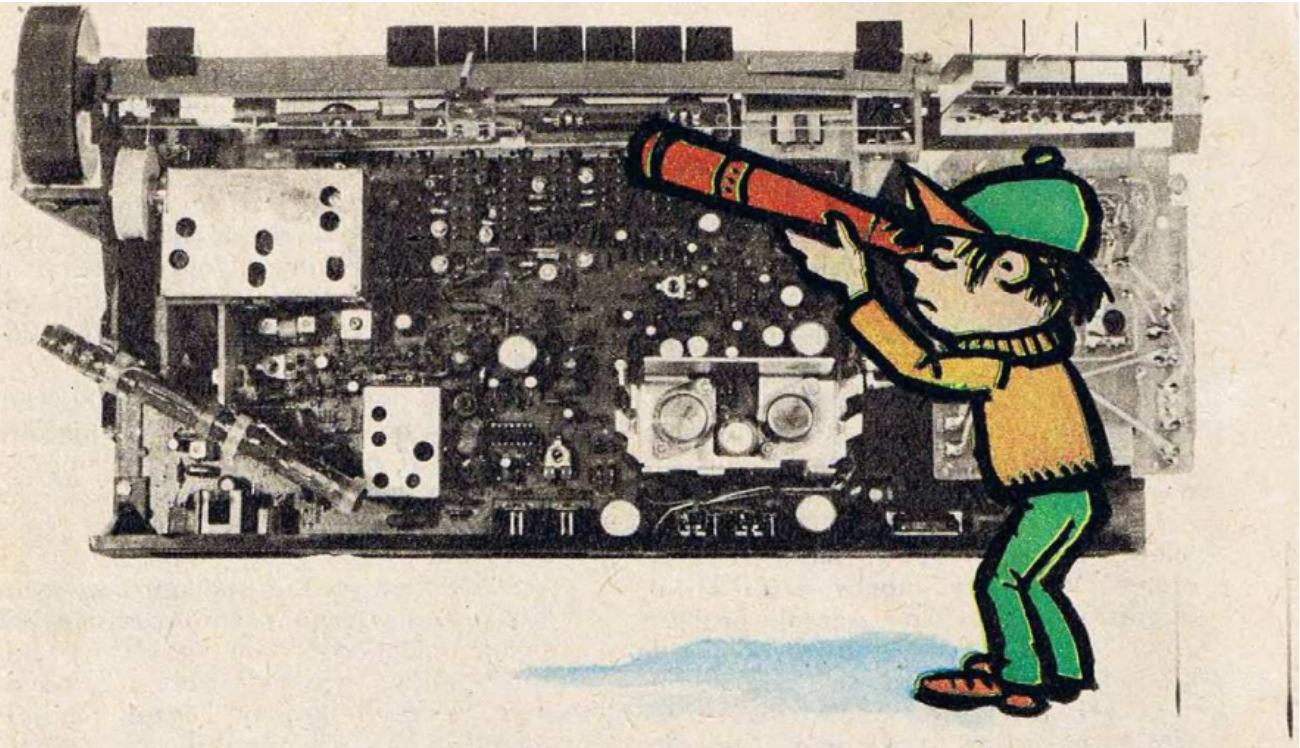

połowie lat pięćdziesiątych z zakresem fal ultrakrótkich. Oczywiście były one budowane z zastosowaniem lamp elektronowych, prostych i wielkich kondensatorów, transformatorów i wzmacniaczy; miały bardzo niedoskonałe głośniki.

W Państwowej Fabryce Odbiorników Radiowych „Pford" (tak wówczas nazywały się zakłady radiowe w Dzierżoniowie) w roku 1950 rozpoczął pracę ojciec Mirka, Adam Burzyński. Miał nieukończoną szkołę średnią i... wiele zapału. Szybko się jednak przekonał, że to za mało. Pracując, uczył się więc w przyzakładowej szkole zawodowej, a później w technikum. Potem studiował zaocznie na Politechnice Poznańskiej. Gdy kończył studia, mała fabryka odbiorników radiowych stała się już sporymi zakładami. Załodze nie podobała się ich nazwa. Ogłoszono więc konkurs, na który wpłynęło wiele pomysłów, lecz żaden nie zyskał aprobaty sądu konkursowego. Wtedy to właśnie, gdy wszyscy zebrani byli już zmęczeni intensywnym głowieniem się, ktoś zaczął półgłosem powtarzać: ra-dio – ra-dio – ra... Świetne! Znakomite! – wykrzyknął przewodniczący sądu konkursowego: „D i o r a"! I tak zostało: Zakłady Radiowe „Diora" w Dzierżoniowie.

W latach późniejszych los nie oszczędził skromnych i prymitywnych zabudowań zakładów. Dwukrotny pożar niemal doszczętnie strawił dorobek dzierżoniowskich pionierów. Ale w miejscu starych powstały nowe i bardzo nowoczesne hale. Sprowadzono z zagranicy bądź z różnych zakładów polskich wiele maszyn, przyrządów pomiarowych i kontrolnych. Unowocześnianie zakładów trwa do dziś: nowoczesne wyroby wymagają przecież nowoczesnych urządzeń.

Opowiedział nam o tym inżynier Adam Burzyński, który zaproponował nam wycieczkę po zakładach.

Z biura głównego konstruktora „Diory" wychodzimy na dziedziniec, a następnie uliczkami wokół hal i budynków, których nazwy i przeznaczenie ledwo zdołamy zapamiętać:

— Magazyn surowców — wskazuje inż. Burzyński — magazyn gotowych wyrobów, narzędziownia, kotłownia, hale montażowe... Tu wejdziemy. Zobaczymy, jak montuje się odbiornik.

Hala jest kilkupiętrowa, jasna, niemal cała ze szkła, nawet dach jest szklany. Inżynier Burzyński prowadzi nas do magazynu podzespołów produkowanego obecnie odbiornika „Amator – Stereo". W dużej hali na półkach i w różnych przegródkach leżą tranzystory i diody, skrzynki, pokrętła, transformatory. Niczym w aptece, gdzie farmaceuta według recepty dodaje odpowiednich składników do lekarstwa, tak tu pracownicy magazy-

nu z półek i przegródek wyjmują podzespoły według odpowiedniej „recepty" i wkładają do metalowych koszyczków. Koszyczki są podwieszone na ramieniu do długiej szyny i wolno przesuwają się coraz wyżej aż do hali wstępnego montażu.

Po chwili jesteśmy w hali montażowej – podobnej do kilku innych znajdujących się w „Diorze" – dużej i jasnej. Ustawione wzdłuż hali kilkudziesięciometrowe stoły są podzielone na biurka – warsztaty. Siedzą przy nich montażystki i montażyści. Większość to ludzie bardzo młodzi, ale mają już niemałe doświadczenie. Wystarczy choćby przez chwilę popatrzeć, jak szybko i zręcznie pracują: „blaty" ich warsztatów są ruchome, są częścią przesuwającej się bezustannie gumowej taśmy. W ściśle określonym czasie muszą w dokładnie ustalonym miejscu płytki odbiornika radiowego ustawić właściwe elementy (które wyjmują z przesuwających się nad ich głowami metalowych koszyczków). Na kolejnych stanowiskach „przybywają" na płytce coraz to nowe części odbiornika. W pewnym momencie płytka z osadzonymi w niej tranzystorami, diodami, układami scalonymi, opornikami i kondensatorami zostaje przeniesiona do dużego tunelu. Przez szybę widzimy, jak jej spodnia część zanurza się w roztopionej, srebrzystej masie cyny, po czym płynąc dalej podsuwa się pod obcinarkę przypominającą maszynkę do strzyżenia włosów, która odcina za długie, wystające końce przewodów.

...Tak zafascynował nas montaż, iż dopiero po chwili zauważyliśmy, że chodzimy po miękkim zielonym chodniku, obok pięknych palm i paproci, łagodnie tryskających fontann. A z głośników płynie przyjemna, cicha muzyka.

– Tego dorobiliśmy się w ostatnich latach – wyjaśnia inż. Burzyński jakby w odpowiedzi na nasze spostrzeżenie. – Jak w każdej hali fabrycznej, tak i tutaj są szkodliwe dla zdrowia wyziewy, choćby z wanny lutowniczej. Zainstalowaliśmy więc różnego rodzaju wyciągi i wentylatory oraz urządzenia sprawdzające ich działanie. Jednak – jak twierdzą specjaliści – najlepszym miernikiem, czy atmosfera, w której pracują ludzie, nie jest szkodliwa dla ich zdrowia, są zielone, żywe kwiaty. Zdrowy wygląd naszych paproci i palm świadczy o tym, że u nas zapewnione są odpowiednie warunki.

Na stanowiskach końcowego montażu odbiornika już nie jest tak cicho i spokojnie jak w hali montażu wstępnego. Tu trzeba mieć „mocne uszy". Diorowska „rozgłośnia" nadaje swój „program"; nie jest to jednak ani muzyka, ani ciekawe słuchowisko, lecz monotonny, jednostajny dźwięk o różnej wysokości i natężeniu: świst, gwizd i wycie przypominające syreny alarmowe i w końcu buczenie, potęgowane z różnym nasileniem

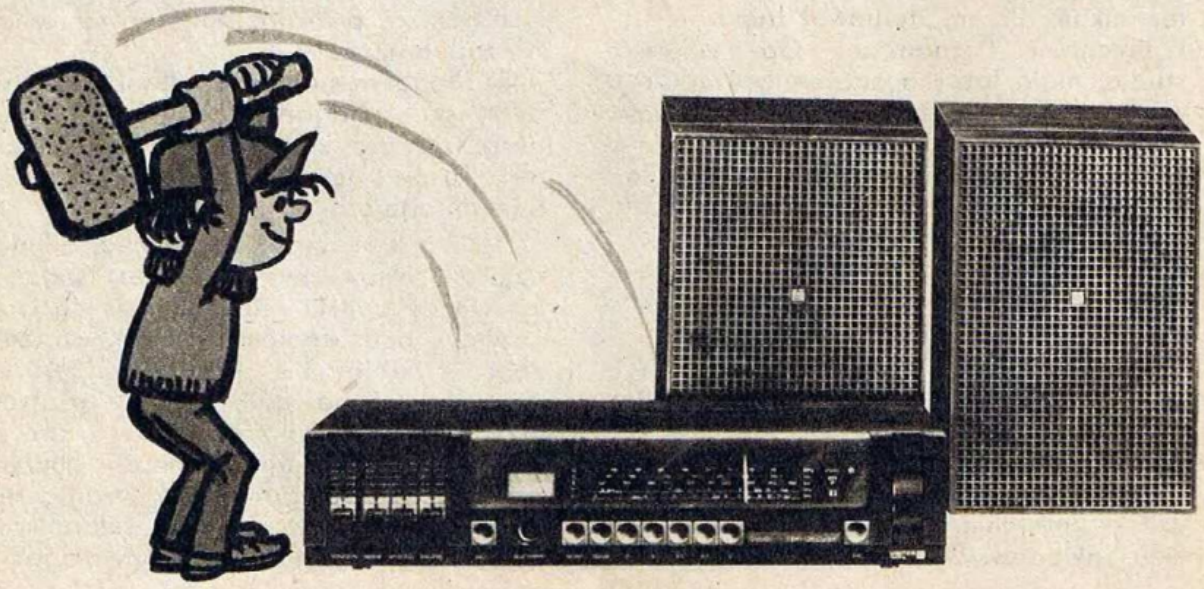

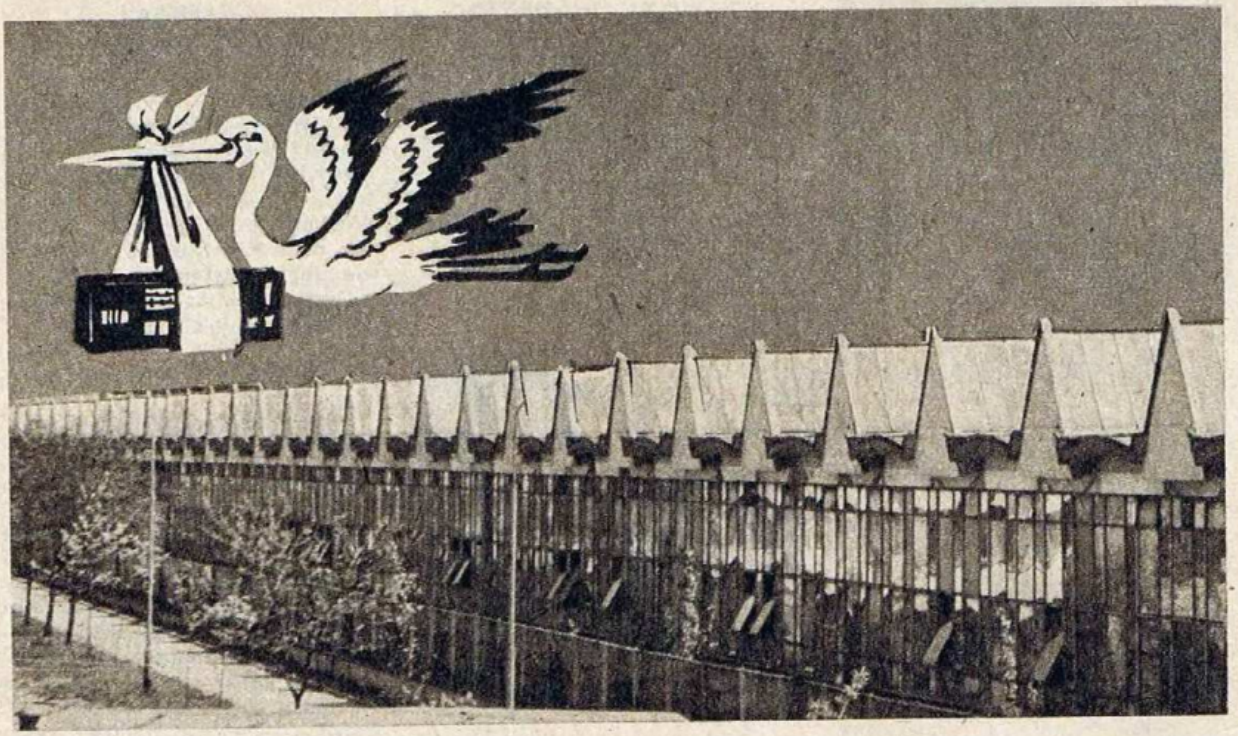

na różnych stanowiskach strojenia. I tu niemało jest lamp oscyloskopowych, mierników z migającymi kolorowymi liczbami i przyrządów samopiszących. Ponieważ odbiornik „Amator–Stereo", którego narodzin byliśmy świadkami, jest – jak sama nazwa wskazuje – stereofoniczny, trzeba zestroić nie tylko poszczególne zakresy fal długich, średnich, krótkich i ultrakrótkich, ale także prawy i lewy kanał, działanie tzw. pilota stereo, dekodera, to jest urządzenia, które przyjmuje sygnał stereofoniczny i rozdziela na prawy i lewy głośnik itp.

Gdy odbiornik jest już prawie gotowy, brak mu tylko skrzynki, przechodzi pierwsze badanie: ruchoma taśma podaje go do małych metalowych pomieszczeń, jakby klatek, w których siedzą kontrolerzy oddzieleni od zewnętrznych zakłóceń i hałasów. Tam już na własne uszy oraz za pomocą odpowiednich urządzeń badają i określają moc wyjściową odbiornika, selektywność, czułość, pasmo przenoszenia i inne wymagane parametry.

– Po tej tak bardzo dokładnej kontroli wkłada się odbiornik do skrzynki, montuje pokrętła, przełączniki, pakuje do tekturowych pudeł i wysyła do sklepów – wyręczamy w objaśnieniach inż. Burzyńskiego.

– O, jeszcze nie! – odpowiada nasz przewodnik. – Teraz następuje jeszcze jedna kontrola zewnętrzna odbiornika, a więc sprawdzenie, czy skrzynka nie została porysowana, nie uszkodzone nóżki, nie porysowana osłona skali itd. A potem jeszcze... jedna kontrola, lecz już wyrywkowa. Przypadkowo wybrany, co piąty, dziesiąty albo co setny, przygotowany do wysyłki odbiornik jest poddawany bardzo wymyślnym „torturom": włącza się go do prądu o zbyt wysokim lub za niskim napięciu, wkłada do lodówek, a następnie gorących komór, obtłukuje gumowymi młotkami, a nawet zrzuca z niewielkich wysokości. I jeśli te badania wypadną pomyślnie – cała partia odbiorników otrzymuje ostateczne zezwolenie na sprzedaż.

* * *

Teraz po zwiedzeniu zakładów i prześledzeniu tylko niektórych etapów produkcji odbiornika „Amator–Stereo", nie dziwimy się, że Mirek Burzyński wybrał właśnie takie technikum, technikum, które przygotuje go do bardzo ciekawej pracy w zakładach radiowych. **B. W.**